Wydawnictwa rok VII
Dnia 16 czerwca 1929 r.

Nr. 302

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

LEPSZY YOUNG W GARŚCI, NIŻ DAWES NA DACHU...

NIEDYSKRECJE:

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

NIEDYSKRECJE

SZEŚĆ PUNKTÓW REZOLUCJI RADY LIGI W MADRYCIE, które usprawniają procedurę w załatwianiu skarg mniejszościowych, nadają jej szybszy bieg i rozszerzają jawność, wypływa z motywów raportu londyńskiego. Zwalczając namiętnie ten raport, p. min. Stresemann zmuszony był podporządkować się rezolucji, a nawet przyznać iż wprowadzone reformy oznaczają postęp. W tem właśnie tkwi cała bezpodstawność jego poprzedniego stanowiska, nicość jego argumentacji i daremność usiłowań zamaskowania swego odwrotu. Jeżeli zważymy, iż Niemcy przygotowywały się do generalnej ofenzywy mniejszościowej w Madrycie, że ofenzywę tę p. Stresemann kilkakrotnie już zapowiadał na terenie genewskim, że prasa niemiecka używała problemu mniejszościowego jako narzędzia wrogiej propagandy przeciw Polsce, porażka tezy niemieckiej na ostatniej sesji Rady Ligi nabiera szczególnego znaczenia. Dobrze byłoby, gdyby stała się dla Niemiec nauką na przyszłość, ostrzegającą przed dalszem mąceniem stosunków międzynarodowych fałszywemi hasłami, których fałsz sami demaskują u siebie w domu. A jeszcze lepiej, gdyby po tych niefortunnych doświadczeniach na terenie zagranicznym, rząd niemiecki, pamiętając o zasadzie: „Medice, cura te ipsum", wziął się na dobre do wytępienia choroby barbarzyńskiego nacjonalizmu wśród własnych obywateli.

* * *

ULEGALIZOWANIE GWAŁTÓW OPOLSKICH przez uniewinnienie głównego podżegacza i winowajcy w osobie redaktora „Oberschlesische Tageszeitung" Knaak'a wywołać musi oburzenie solidarnej opinji polskiej, podobnie jak znalazło też oddźwięk w toczącej się obecnie dyskusji mniejszościowej na forum Rady Ligi Narodów w Madrycie. Społeczeństwo polskie spoglądało z niedowierzaniem na „dyplomatyczne ubolewania" bohatera znanej afery na Śląsku dr. Łukaschka, z niedowierzaniem przyjmowało wyrazy ubolewania niemieckich stowarzyszeń i zajęło stanowisko wyczekujące. Dzisiaj ocena faktów opolskich nawet dla największego entuzjasty pacyfikacji stosunków polsko-niemieckich nie nastręcza najmniejszych wątpliwości, skoro partja Deutsch - Nationale oficjalnie nawołuje do dalszej walki z teatrem polskim na Śląsku Opolskim, wciągając nawet w tę sprawę nazwisko Prezydenta Rzeszy Niemieckiej. Łącząc obydwie przesłanki: oficjalny fakt uniewinnienia Knaak'a i nowe zapowiedzi gwałtów ze strony nacjonalistów, wyciągnąć możemy tylko jeden wniosek, a mianowicie — napad bandytów opolskich na polskich artystów teatralnych nie był czynem grupy sfanatyzowanych mętów społecznych, lecz wiernem odbiciem kultury poważnego odłamu niemieckiego społeczeństwa — nacjonalistów. Zaślepienie kół militarystyczno - szowinistycznych jest tak bezkrytyczne, iż nie pomoże tu jeden, czy drugi odosobniony głos niemiecki, potępiający „Die Polenhetze". Socjalistyczny rząd Macdonald'a ma jeszcze jedną okazję do zaobserwowania nacjonalistycznego błogostanu pod pokrywką socjalistycznych rządów w Niemczech.

* * *

MODNE ZAGADNIENIE mniejszości narodowych przestało już być wyłącznie humanitarną troską ludzkości, a nadużywane zbyt często, uległo poważnej dewaluacji. Dzisiaj niema w Europie państwa któreby w mniejszym lub większym stopniu nie liczyło wśród swych obywateli „krajowych cudzoziemców". Jeśli Primo de Rivera był dotychczas odmiennego zdania, to podczas ostatnich obrad Rady Ligi Narodów przypomniał mu o tem Stresemann, wymieniając w jednem ze swych przemówień mniejszościowych Basków i Katalonów, prawdopodobnie w podziękowaniu za hiszpańską gościnę. Ironją losu jest rzeczywistość, iż minister spraw zagranicznych Rzeszy sięga najczęściej po laury obrońcy uciemiężonych mniejszości narodowych, rzeczywistość, w której hakatystyczna tradycja wozu Drzymały i nauczycieli wrzesińskich zastąpiona została krwawym szowinizmem bandytów opolskich i sędziów „prawnie" zamordowanego Jakubowskiego. Zapewne dla odwrócenia uwagi od faktycznego stanu rzeczy prasa niemiecka podaje następujące zestawienie, dotyczące mniejszości narodowych: W Belgji 38,6 proc. ludności mówi językiem francuskim, 43,2 proc. flamandzkim, 14,1 proc. dwujęzycznej i 4,1 proc. innych. W Szwajcarji 71,3 proc. mówi po niemiecku, 28,7 proc. językami romańskiemi. W Jugosławji 83 proc. Serbów, Chorwatów i Słoweńców, pozostała ludność rekrutuje się z Italczyków, Węgrów, Niemców i Cyganów. Podobnie w Bułgarji procent rdzennej ludności wynosi 83,4 proc. Finlandja posiada rdzennej ludności 88,7 proc., Węgry 89,5 proc., Polska ca 70 proc., Francja 90 proc., Czechosłowacja ca 70 proc. W Niemczech przebywa półtora miljona Polaków, 200.000 Łużyczan, 20.000 Fryzów, 28.000 Duńczyków i 35.000 Litwinów. Podobno nawet Anglja posiada mniejszość narodową, bo w Walji zaledwie 59,4 proc. ludności włada tylko językiem angielskim, a 6,3 proc. używa wyłącznie celtyckiego, reszta zaś należy do dwujęzycznych.

SIĘGNIJMY DO ŹRÓDEŁ

Ekscesy studenckie, których smutną widownią był w ostatnich dniach Lwów, a których oddźwięki odzywały się tu i ówdzie wśród młodzieży innych miast akademickich, nasuwają na myśl szereg refleksyj na temat podłoża, z którego wyszły. Abstrahujemy w tej chwili od bezpośredniej przyczyny, która zajścia spowodowała, t. j. od niewątpliwej już dziś ingerencji czynników narodowo - demokratycznych, za podszeptem których incydentowi, zaszłemu podczas procesji lwowskiej, nadano sztucznie charakter poważny, a fatalny w następstwach. Na temat związku przyczynowego pomiędzy odbytym ostatnio we Lwowie zjazdem działaczy endeckich, a wybuchłemi bezpośrednio tuż po nim zamieszkami studenckiemi z obwiepolskimi korporantami na czele, będzie jeszcze zapewne sposobność napisać szerzej.

Chodzi jednak o rzeczy bardziej zasadnicze, niż o same tylko wypadki ostatnich dni. Chodzi o zdanie sobie sprawy, w czem leży źródło owego nagminnego bezkrytycyzmu, z jakim młodzież dała się brać na lep

perfidnej machinacji zakulisowych czynników, pokrytej lichutkim łachmanem taniego frazesu pseudo-patrjotycznego czy pseudo - religijnego.

Są to rzeczy, których niesposób należycie zrozumieć bez istotnego wniknięcia w psychikę dzisiejszego pokolenia młodzieży akademickiej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że psychika ta, produkt odmiennych niż poprzednie warunków życia i wychowania, wchodzi w tej właśnie chwili, w bieżących latach, w stadjum nowe, całkowicie odmienne nietylko już od psychologji przedwojennych pokoleń studenckich, ale różne nawet od psychiki tych dwu generacyj akademickich, które wychowało pierwsze dziesięciolecie istnienia Państwa. Wypływa to z przyczyn, dających się wykazać z ołówkiem w ręku. „Gros" młodzieży, w tej chwili studjującej w uniwersytetach czy innych wyższych uczelniach, to młodzi ludzie w granicach wieku od 18-u do 24-ch lat. A więc jest to po dotychchczasowych generacjach dosłownie pierwsza „powojenna", t. j. pierwsza ta, która lata niewoli mogła zachować w pamięci conajwyżej mglistem wspomnieniem dzieciństwa, która okres wielkiej wojny pamięta raczej od strony „optycznej", a w procesie gruntowania się zrębów Państwa w latach 1918-20 nie była jeszcze w możności — poza znikomym odsetkiem — uczestniczył ani fizycznie, ani tem mniej umysłowo. Biorąc rzecz od strony sentymentu ludzkiego, możnaby powiedzieć, że na niej rozpoczyna się okres, do którego w dobie niewoli szły uporczywie tęsknoty: ‚my nie doczekaliśmy, niechby bodaj nasze wnuki..." Ale biorąc rzecz od strony życiowej i ściśle praktycznej, trzeba sobie z całą świadomością zdać sprawę, że młodzież, studjująca w obecnej chwili w wyższych uczelniach, to na powierzchni naszych stosunków pierwsza generacja, która do dzieła tworzenia Polski nie wniosła nic: — ani trudu żołnierskiego, bo wówczas, w dobie polskich zmagań wojennych, nie dorosła jeszcze do dźwigania karabina, — ani też realnej pracy na niwie obywatelskiej, bo dzisiaj, w okresie pokoju i stabilizacji warunków państwowych, dorasta dopiero do dźwigania w przyszłości swej roli w społeczeństwie. W bilansie życia polskiego jest dotychczas pozycją o wartości zupełnie jeszcze nieokreślonej, nie: aktywnej, lecz dopiero: potencjalnej.

Brak przeżyć wojennych i służby żołnierskiej, owej twardej lecz jakże skutecznej szkoły przygotowaczej do życia obywatelskiego, jest niewątpliwie u młodzieży dzisiejszej brakiem dużym, zwłaszcza z punktu widzenia tych wszystkich, którzy sami szkołę tę przechodzili praktycznie. Niemniej ważnym brakiem — znów z tegoż punktu widzenia — jest i to, że w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, przed wojną czy po wojnie, generacyj akademickich, generacja dzisiejsza nie ma przed sobą tak widomego i określonego objektu celowości swych dążeń, jakim dla tamtych było wywalczenie i ugruntowanie niepodległości, — i że skutkiem tego aspiracje jej zwracają się raczej ku celom jednostkowym i utylitarnym, niż zbiorowym czy społecznym. Lecz ani pierwszy ani drugi z tych faktów nie jest jeszcze dostatecznem uzasadnieniem poglądu, biadającego wśród starszego pokolenia nad „zmaterjalizowaniem" młodzieży, identyfikowanem nieledwie z całkowitą utratą wszelkiego idealizmu wśród niej. Życie stworzyło tej młodzieży warunki inne niż te, w których myśmy wzrastali, — warunki, których nietylko niewolno niedostrzegać, ale które w imię przyszłości musi się respektować i uznać za życiowo realne. Zmiana sposobów myślenia i celów, spowodowana zmianą warunków, nie wpłynęła napewno umniejszająco na poziom idealizmu tej młodzieży. Przeciwnie, — o ile z niewesołych wypadków lwowskich wolno wyciągnąć jakieś pocieszające spostrzeżenie, to to jedno, jak wielkim jest u niej potencjał prawdziwego, choć w tym wypadku nikczemnie przez czynniki endeckie nadużytego, idealizmu, gotowego do czynów — wedle swego najlepszego, choć błędnego rozumienia.

Nie w „zmaterjalizowaniu" więc ani nie w rzekomem zobojętnieniu młodzieży na sprawy ogólne szukać należy źródeł owego bezkrytycyzmu, na jakim z taką łatwością żerować chcą dla swych celów żywioły, dla których zgangrenowanej etyki każda metoda walki z rządem jest godziwą. Ale taksamo, jak w procesie rozwojowym psychologji tej młodzieży za objaw całkiem naturalny przyjąć należy kierunkowość jej dzisiejszych „utylitarnych" aspiracyj, tak też koniecznością jest liczyć się z konsekwencjami faktu, iż młodzież ta wzrastała w oderwaniu od pracy dla państwa, że z pracą państwowotwórczą, czy w sensie wojennym czy pokojowym, nigdy dotychczas nie miała możności się zetknąć. Trzeba przyjąć za fakt, że pojęcie państwa, jako zbiorowego dobra, nie miało możności wykrystalizować się w jej umysłowości w kształt dostatecznie określony na to, by pod to pojęcie nieuczciwa ręka politycznego szalbierza nie mogła podłożyć liczmanu lada dźwięcznego, a fałszywego frazesu.

Jest na to lek jeden, ale skuteczny. Tem dłutem, które z nieurobionego a podatnego potencjału urobić musi trwały posąg przyszłego państwowo myślącego obywatela, winno być przedewszystkiem nakierowanie uwagi młodzieży na jeden cel ogólny, obchodzący wszystkich, a doskonale pozwalający pogodzić obywatelsko - wychowawcze względy z „utylitarnemi" sposobami myślenia dzisiejszej generacji akademickiej. Jest nim kwestja obrony państwa, obrony dobra każdego z osobna i wszystkich razem obywateli. Ruch przysposobienia wojskowego ma tu w pierwszym rzędzie olbrzymie pole do działania. Pokolenie studenckie, pierwsze „powojenne', któremu szczęśliwy czy nieszczęśliwy los poskąpił szkoły życiowej, jaką przeszli starsi, winno tę szkołę przejść przynajmniej w warunkach pokojowych — przedewszystkiem dla własnego dobra.

Przykłady są — i to dostatecznie autorytatywne. Kto widział, jak w roku 1908 w jedynych wówczas polskich trzech wyższych uczelniach t. j. w Uniwersytecie Jagiellońskim, w Uniwersytecie lwowskim i lwowskiej Politechnice, wśród powszechnego indyferentyzmu młodzieży dla sprawy niepodległości tworzyły się z kilkudziesięciu studentów pierwsze zaczątki Związku Walki Czynnej, mające w trzy lata później objąć znaczną część młodzieży w Związkach i Drużynach Strzeleckich, a w r. 1914 rozszerzyć się na jeszcze dalsze kręgi, — ten wie, jak olbrzymią siłę motoryczną posiada szkoła obywatelskiego i państwowotwórczego myślenia, którą jest służenie idei walki o wolną Polskę.

LEPSZY YOUNG W GARŚCI, NIŻ DAWES NA DACHU...

Następstwa mitologji reparacyjnej.

Skończył się w sprawie niemieckich odszkodowań wojennych okres mitologji. Czy rozpoczął się wskutek tego naprawdę okres w tej sprawie racjonalizmu? Niezbyt daleka przyszłość da odpowiedź na to pytanie. Ostatnio, po czteromiesięcznych targach w hotelu Georges V w Paryżu, gruntownie zreperewano reparację, czyli zastąpiono preparacyjny plan Dawes'a reparacyjnym planem Young'a. Pierwszy w znacznej, nawet na pozór najważniejszej swej części osnuty był na tle mitologji politycznej. O drugim zapewniają dzisiaj, że jest nawrotem, na całej linji, do finansowego, komercjalnego, czy też bussinesowego racjonalizmu. Jeśli w 1924 r., roku jego powstania w następstwie „wojny nad Ruhrą", planem Dawes'a jedni zachwycali się, jakgdyby był nie jednem tylko, ale całą kopą jajek Kolumba; jeśli w ciągu czterech lat jego stosowania w praktyce nie nastąpiło zapowiadane przez innych załamanie się planu i niewypłacalność Niemiec, to dlaczego oświadczać dzisiaj, że koniecznem było... przestawienie tych wszystkich doskonałych jajek Kolumba na drugi koniec? Przy której to operacji czy reparacji poszły na marne miljardy i biljony kop jajek złotych, które składać miały na powetowanie szkód wojennych niezliczone pokolenia kur i gęsi niemieckich. Bo ze 132 miljardów marek złotych sumy reparacyjnej, ustalonej na konferencji londyńskiej w 1921 r. a nietkniętej przez plan Dawes'a, plan Young'a pozostawił okrągło tylko 37 miljardów. Taka jest dzisiejsza wartość 37 spłat rocznych po przeciętnie 2050 miljonów marek i dalszych 22 spłat zmiennej wysokości od 1600 do 1700 i 900 miljonów marek, wartość skapitalizowana na podstawie 5 proc. rocznie. Zważywszy, że od roku 1928/29 Niemcy wedle planu Dawes'a mieli płacić po 2.500 miljonów marek rocznie, a więcej gdyby wskaźnik dobrobytu zezwolił na podwyżkę tej raty, mniej gdyby wskaźnik był niekorzystny — widzimy, jak doskonały udał się Niemcom w Paryżu interes.

Powstaje więc pytanie: Dlaczego rzeczoznawcy państw sprzymierzonych, ludzie, którzy jednak doskonale umieją rachować, zgodzili się na tak olbrzymie na korzyść Niemiec ustępstwa? Na odbudowę swoich szkód wojenych Francja n. p. wydała już przeszło 100 miljardów franków. Otrzymywać będzie po wejściu w moc obowiązującą rocznie przedewszystkiem okągłe 500 miljonów marek złotych, co czyni około 3.040 miljonów franków dzisiejszej waluty francuskiej. Skapitalizowane na wartość dnia dzisiejszego spłaty te łącznie równają się około 50 miljardów franków — połowa zaledwie sum, jakie Francja już na odbudowę powojenną musiała wyłożyć. Licząc zaś wszystko razem, w przeciągu lat 37 Francja otrzymywać będzie między 900 do prawie 1.300 miljonów marek złotych rocznie, w następnych 22 latach zaś około 800 miljonów marek rocznie. Wartość dzisiejsza skapitalizowana tych wszystkich spłat wynosi 19 i pół miljarda marek, czyli 118 miljardów franków obecnej waluty. A więc, wszystkie, na 59 lat rozłożone spłaty niemieckie na korzyść Francji zaledwie z drobną nadwyżką pokrywają rzeczywiste szkody wojenne, jakie Francja poniosła. Pozostaje 18 miljardów franków na koszty wojenne. Naprawdę same... drobniaki.

Jednak Francuzi sami zestawiają inny rachunek. A to na tej podstawie, że wedle planu Young'a w 37 pierwszych anuitetach reparacyjnych jest 660 miljonów marek złotych, płatnych bezwarunkowo, wolnych od wszelkich klauzul tak zwanych „transferowych" i moratoryjnych, od tej całej mitologji, jaką otoczony był plan Dawes'a. Z tych 660 miljonów rocznie część idzie na służbę tak zwanej „pożyczki Dawes'a", owych 800 miljonów marek złotych, które Ameryka pożyczyła Niemcom za to, że uprzejmie zgodziły się nareszcie na podjęcie reparacji niby na serjo, 500 miljonów rocznie, które z tej transzy spłaty reparacyjnych otrzymywać będzie Francja, dadzą podkład pożyczki francuskiej od 42 do 50 miljardów franków, która zabezpieczona będzie spłatami niemieckiemi, dokonywanemi z dochodów kolei niemieckich. O tyle odciąży się budżet rocznych wydatków francuskich. Ile zaś Francja otrzyma ze spłat niemieckich ponad owe pierwsze 500 miljonów marek rocznie, wystarczy na spłaty roczne na poczet francuskiego długu wojennego w Ameryce i Anglji. Robiąc taki rachunek, Francuzi powiedzieli sobie, że lepszy... Young w garści, niż Dawes na dachu.

I w tej to parodji przysłowia tkwi część tajemnicy ogromnego sukcesu finansowego, przez Niemców odniesionego w Paryżu. Po raz drugi od chwili podpisania Traktatu Wersalskiego Niemcy na zwycięzcach wielkiej wojny wzięli odwet gospodarczy. Pierwszym odwetem było oszukańcze bankructwo Rzeszy, dokonane za pomocą inflacji, przez którą Rzesza pozbyła się wszystkich prawie swoich długów przedwojennych i wojennych, a pozatem magnaci przemysłowi i finansowi niemieccy, sprzedając marki papierowe za dobre dolary zagranicą, „zarwali" wszystkie rynki pieniężne świata na sumy, obliczane aż do 4 miljard. marek. Drugim odwetem jest to obecne przerzucenie nietylko wszystkich kosztów wojennych aljanckich, ale i conajmniej połowy, jeśli nie więcej, wszystkich szkód przez wojska niemieckie wyrządzonych, na zwycięzców. Moralna siła zachodnich demokracyj wytrzymała cztery lata wojny z imperjalizmem i militaryzmem pruskim. Ale moralna i gospodarcza siła ich nie wytrzymała dziesięciu lat krętactw i matactw niemieckich, poświęconych wymiganiu się z obowiązań traktatu pokojowego, w pierwszym rzędzie z obowiązań pieniężnych.

Doszukując się prawdziwej przyczyny, która umożliwiła tym matactwom takie powodzenie, jakiem jest bezspornie dla Niemiec zgoda komisji Young'a na obniżenie sum reparacyjnych znacznie nawet poniżej proporcjonalnej wartości francuskiej odszkodowania wojennego z 1871 roku, nie można nie dopatrzeć się jej w całej mitologji reparacyjnej. Autorem tego zwrotu „mitologja reparacyjna" jest p. Robert Crozier Long, przez cały szereg lat przedwojennych i powojennych korespondent amerykańskich i angielskich pism w Berlinie; użył go on na tytuł książki „The Mythology of Reparations", wydanej z początkiem 1928 r. w Londy-

nie, w czasie, kiedy po ostrej polemice między p. Parkerem Gilbert'em, generalnym agentem reparacyjnym, a ówczesnym ministrem skarbu Rzeszy, Dr-em Köhlerem, zaczęły się starania niemieckie o zmianę planu Dawes'a. Książka ta jest najlepszem może przedstawieniem całego problemu nietylko dlatego, że pisana jest z niezwykłą werwą dziennikarską i dostępną zrozumieniu ogólnemu, ale też dlatego, że opiera się na gruntownem znawstwie teorji i praktyki gospodarczej, a przedewszystkiem na gruntownej znajomości rozwoju gospodarczego Niemiec przedwojennych i powojennych.

W przedmowie do swej książki p. Long stwierdza, że głównie dwa mity oplotły całą sprawę reparacji wedle planu Dawes'a i spowodowały dążenie krajów wierzycielskich do przedwczesnej jego zmiany. „Pierwszy mit, to mniemanie, że pomimo założonej zdolności Niemiec do spłaty anuitetów, ustalonych w planie, mogą powstać przeszkody, uniemożliwiające przelanie (transfer) wypłat w ręce Sprzymierzeńców w walutach krajów sprzymierzonych. Drugi mit, to mniemanie, że Niemcy doznają trudności przy uskutecznianiu wypłat i że mogłyby być zmuszone do ich zaprzestania. Jeśli te mniemania są naprawdę mitami, ciągłości wypłat reparacyjnych krajom wierzycielskim jest zapewniona. A że jest zapewniona — to właśnie jest tezą książki niniejszej".

Otóż p. Long udowodnił w tem dziełku — cała książka liczy zaledwie 200 stron — niezbicie, że do planu Dawes'a jak najniepotrzebniej wprowadzono cały skomplikowany mechanizm tak zwanego transferu. Plan Dawes'a żąda mianowicie spłaty anuitetów w walucie niemieckiej, która ma być pełnej wartości złotej i w tej wartości przez wierzycieli będzie przyjmowaną. Ale o przemianę tych pełnowartościowych marek niemieckich na walutę krajów wierzycielskich ma się troszczyć generalny komisarz reparacyjny, bacząc na to, aby ten transfer nie zachwiał stałości kursu niemieckiej waluty. Ponieważ dług reparacyjny, oprócz swej wielkości, nie różni się niczem od innych długów państwowych, jego służba nie może mieć żadnego wpływu na stałość waluty niemieckiej, dopóki ta waluta sama w sobie jest zdrową. Waluta może się załamać tylko przez inflację, a ta powstaje z deficytów budżetowych i z ich pokrywania papierowym pieniądzem, nie opartym na złocie i dewizach. Mając kontrolę nad Bankiem Rzeszy nad jej kolejami i innemi źródłami dochodów niemieckich, mając w ręku obligacje tych kolei i obligacje przemysłu niemieckiego, wykonawcy planu Dawes'a nie potrzebowali się obawiać, że Niemcy po raz drugi urządzą sobie infalcję tylko dla uniemożliwienia transferu. Toteż rzeczywiście ani razu nie wydarzyła się żadna trudność.

Za pomocą dokładnej rzeczowej analizy gospodarki niemieckiej w pierwszych trzech latach działania planu Dawes'a p. Long stwierdza dalej, że bynajmniej nie jest prawdą, iż Niemcy mogły spłacać przewidziane anuitety tylko z pożyczek zagranicznych. Bo te pożyczki i zwyżka dochodu narodowego niemieckiego ponad narodowe spożycie razem wzięte pokrywały olbrzymie inwestycje gospodarcze w Niemczech, deficyt bilansu handlowego, spłaty reparacyjne i ponad to wszystko pozostawiły za okres trzyletni 1925 — 1927 jeszcze grubo ponad miljard funtów angielskich, czyli przeszło 20 miljardów marek złotych oszczędności narodowych. Deficytowy bilans handlowy tego okresu jest właśnie wyrazem rozwoju życia gospodarczego. Nawet gdyby pożyczki zupełnie odpadły, siła gospodarcza Niemiec wystarczyłaby na kilkakrotne pokrycie pełnej rocznej spłaty 2.500 marek złotych, a tylko — podobnie jak w 1926 r. — bilans niemieckiego handlu zagranicznego byłby czynny. Przytoczone przez p. Long'a dane statystyczne najzupełniej potwierdzają te jego wywody. Sam fakt, zaś że tegoroczny budżet Rzeszy zamyka się deficytem, tych wywodów nie obala; nie stanowi też żadnego jeszcze niebezpieczeństwa dla waluty niemieckiej, o ile naturalnie nie poczyta się tego faktu za rozmyślną niemiecką przestrogę pod adresem wierzycieli reparacyjnych, że Niemcy potrafiłyby też gospodarować inaczej i naprawdę rozmyślnie po raz wtóry zniszczyć swoją walutę, gdyby z planu Dawes'a nie poczyniono im ustępstw.

Spór o pytanie, czy długi zagraniczne niemieckie na cele reparacyjne zaciągane mają pierwszeństwo przed innemi długami, czy też nie, był napewno tego samego rodzaju ostrzeżeniem. Spór ten uniemożliwił tak zwaną mobilizację obligacyj kolejowych i obligacyj przemysłu niemieckiego przez zaciągnięcie na nie pożyczki zagranicznej. Kapitał amerykański obawiał się poprostu, że te podkłady pod pożyczkę, która byłaby uwolniła Francję od kłopotów finansowych, mogłyby się okazać bezwartościowemi na skutek manipulacyj walutowych niemieckich. Dlatego więc plan Young'a zrezygnował ze wszystkich gwarancyj spłat oprócz dochodów kolejowych i kilku pozycyj dochodowych budżetu Rzeszy, a same spłaty podzielił na dwie równoległe bieżące: jedną bezwarunkową i nie korzystającą z żadnych klauzul transferowych, drugą z uproszczonym mechanizmem przelewania spłat zagranicę. Związanie reparacyj z nowym bankiem, który będzie potężną dźwignią międzynarodowych obrotów pieniężnych, równa się wystawieniu groźnej reduty, pod której ogniem kredyt niemiecki musiałby się natychmiast załamać, skoro tylko Niemcy próbowałyby nie dotrzymywać swych tak wielce zredukowanych zobowiązań. Redukcja sumy końcowej reparacji i zmniejszenie tak znaczne rocznych spłat są premją, jaką Niemcy otrzymały za swoją zgodę na układ finansowy, który ma conajmniej tę zaletę, że już nie tak łatwo dłużnik niemiecki może się ze swych zobowiązań wyłamać, a jego wierzyciele zaś, głównie Francja, uzyskają pewność, że ze spłat niemieckich będą conajmniej mogli spełniać swe zobowiązania amerykańskie.

Lepszy Young w garści, niż Dawes na dachu... Taki jest narazie wynik paryskich czteromiesięcznych konferencyj. Ale ich przebieg wykazał aż nazbyt wyraźnie, że sami Niemcy tej zmiany planu Dawes'a nie uważają jeszcze za maximum tego, co dałoby się stargować z wersalskiego traktatu. Zarobiwszy grubo, aż zbyt grubo na mitologji reparacyjnej, nie przestają dyplomaci niemieccy pracować nad mitologją polityczną, której głównemi tematami są: rozbrojenie, sprawa mniejszości i tak zwana pokojowa rewizja traktatów. Racjonalizm w sprawach finansowych właśnie zapłacił grubo za swoje uwolnienie od mitologji reparacyjnej. Racjonalizm w sprawach politycznych, jeśli nie będzie ostrożniejszy, mógłby zapłacić jeszcze drożej.

ŻYCIE WSI W ŚWIETLE CYFR

Gdy mowa jest o rolnictwie, toniemy naogół w ogólnikach i frazesach. Powtarza się do znudzenia, że ludność rolnicza stanowi dwie trzecie ogółu ludności i wyważa się otwarte drzwi twierdzeniem, że od dobrobytu i rozwoju rolnictwa zależy przyszłość gospodarcza kraju. Jakże mało jednak znamy istotne położenie wsi, jakże niewiele wiemy o faktycznych kosztach produkcji, o plonach poszczególnych kategoryj gospodarstw, o spożyciu rodzin włościańskich itd., itd. Literatura ekonomiczna (nie agronomiczna) dotycząca wsi, nad wyraz jest szczupła i uboga. Odbija się to na polityce gospodarczej rządu, której nader często zbywa na ścisłych rzeczowych materjałach. Podczas, gdy gospodarka przemysłu została przez komisję ankietową poddana wnikliwej krytyce, i nakreślone zostały drogi naprawy, to w odniesieniu do rolnictwa takich badań nam brak.

Ale ostatnio zaniedbania te poczynamy usuwać. Wydział Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Wiejskich, będący organem Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach opublikował szereg cennych monografji społeczno-gospodarczych. Są to monografje wsi, powiatów, opisy zwyczajów spadkowych. Są to wreszcie opracowania budżetów gospodarstw wiejskich. Początkowo były to opracowania tylko kilku budżetów z jednej wsi, materjał więc wielce fragmentaryczny, przypadkowy. Wydział następnie pracę tę rozszerzył, zorganizował na większą skalę. Rezultatem rozgałęzionej akcji, opartej o pomoc szeregu organizacyj rolniczych są *Badania nad rentownością gospodarstw włościańskich* w roku gospodarczym 1926/27 opracowane przez inż. Jana Curzytka. Obejmują one rachunki 432 gospodarstw różnej wielkości rozrzuconych po całym kraju.

Prowadzenie rachunkowości rolnej nie jest rzeczą łatwą. Trudności piętrzą się na każdym kroku, przy każdej niemal rubryce. Oparcie się na gotowym systemie prof. *Laura* uprościło organizatorom zadanie. Ale wdrożenie rolników w subtelności tej metody jest rzeczą wielce żmudną, a często wręcz niemożliwą. Badania mogły więc być przeprowadzone tylko u rolników bardziej wykształconych. Gdy się zważy, że w rolnictwie tak wiele zależy od umiejętności i wiadomości fachowych gospodarza, dojdzie się do przekonania, że rezultaty badań inż. Curzytka uważać należy za optymistyczne, zwłaszcza co do gospodarstw mniejszych. Pamiętać również trzeba, że ceny płodów rolniczych kształtowały się w roku gospodarczym 1926/7 korzystnie. O tych zastrzeżeniach nie wolno zapominać, wyciągając wnioski z omawianych badań.

Jedną z najciekawszych kwestyj — to dochód surowy. Określeniem tem objęto ogólny dochód, pochodzący z gospodarstwa, a przeznaczony zarówno na sprzedaż, jak i na spożycie rodziny, utrzymanie służby itd. Okazuje się, że największą korzyść daje bydło. Ze sprzedaży cielął, mleka i przetworów mlecznych zyskuje rolnik 28 proc. dochodu. Obrót zbóż przynosi 23 proc., a hodowla trzody chlewnej przysparza 15,5 proc. surowego dochodu. Te trzy pozycje zatem obejmują dwie trzecie dochodów gospodarstwa rolnego, one to stanowią źródło utrzymania drobnego rolnika i jego rodziny. Obok nich znaczniejszą rolę odgrywa drób, ziemniaki i furmanki. Te pozycje przynoszą dalszych 15 proc. surowego obrotu.

Wielkie więc znaczenie ma przedewszystkiem hodowla bydła. Roczny surowy dochód z bydła oblicza p. Curzytek na 150 zł. na ha, za zboże 127 zł., z trzody na 84 zł. Im mniejsze zaś gospodarstwo, tem większy dochód z bydła i trzody. W najmniejszych bydło przysparza 30,6 proc. trzoda 19,6 proc. a zboże — 17,4 proc. Naodwrót jest w gospodarstwach największych. Tam na pierwszym miejscu stoi obrót zbożem (30 proc.), na drugim bydło (27 proc.), na trzecim trzoda (14 proc.).

Jeszcze wyraziściej występuje to samo zjawisko przy rozpatrywaniu przychodów gotówkowych. W najmniejszych gospodarstwach blisko połowę (40 proc.) dochodów daje nierogacizna, 29 proc. hodowla bydła, a tylko 11 proc. zboże. W największych jest znów przeciwnie. Największy przychód przynosi zboże (34 proc.), następnie idzie bydło (27 proc.) i trzoda (15 proc.). Zupełnie analogicznie przedstawia się sprawa z drobiem.

Hodowla kóz, owiec, gęsi i innych zwierząt, jak również pszczelarstwo, sadownictwo, uprawa lnu itp. nie stanowią w budżecie rolnika poważniejszej pozycji, co nie jest, oczywiście, zjawiskiem korzystnem i pożądanem. Byłoby zadaniem odpowiednich władz i organizacyj rolniczych stale i systematycznie kierować uwagę rolników na działy gospodarstwa przez nich obecnie lekceważone, stwarzając równocześnie warunki rozwoju tych gałęzi produkcji. Wszelka jednostronność jest bowiem niebezpieczna, konjunktury, zawikłania natury handlowo - politycznej, zarazy lub tp. mogą niezmiernie dotkliwie dać się we znaki rolnictwu, nastawionemu na produkcję mało zróżniczkowaną. Jednym z rezultatów praktycznych ankiety Wydziału powinno być baczniejsze zwrócenie uwagi na organizację zbytu mleka i przetworów mlecznych, jako na główne źródło dochodów drobnego rolnictwa obok hodowli trzody. Dalej zbadane być winny możliwości rozszerzenia kierunków produkcji, zwiększenia działów wytwórczości obecnie zaniedbanych, upraw specjalnych, warzywnictwa, sadownictwa, pszczelarstwa, hodowli królików itd.

Przechodzimy do dalszej kwestji, do właściwego celu badań Wydziału — ustalenia rentowności gospodarstw wiejskich. Dochód czysty na ha obliczono na 5,79 proc. na ha. *Najmniesza jest rentowność gospodarstw wielkości 3 do 5 ha, największa grupy 15 — 30 ha.* Lepsza rentowność większych gospodarstw jest spowodowana mniejszem obciążeniem kapitałem hodowlanym i inwentarza martwego. Przeciętny dochód rwolniczy na gospodarstwo obliczono na 3.353 zł., najmniejsze gospodarstwa dają 1545 zł., największe 4954 zł. Dochód za pracę rolnika i jego rodziny jest bardzo wielki, wywozi 2.73 zł. dziennie. Im mniejsze gospodarstwo, tem zarobek za pracę jest niższy. W grupie od 3 — 5 ha zarobek dzienny wynosi zaledwie 1,66 zł.

NA MARGINESIE

DAJĄC WYRAZ RADOŚCI w odnośnych artykułach Głosu Prawdy Literackiego z powodu uchwał, zapadłych na ogólnym zjeździe literatów polskich w Poznaniu nie możemy na tem miejscu nie przypomnieć, iż Głos Prawdy jeszcze w dawnej swej formie tygodnika, później zaś jako dziennik ze swym literackim dodatkiem — podjął pierwszy sprawę doli literatów, postawił ją odpowiednio w opinji publicznej, prowadził żmudną walkę o nagrodę państwową, o nagrody literackie samorządowe, pierwszy wreszcie na swych szpaltach wszczął sprawę utworzenia Akademji literatury polskiej, prowadząc dyskusję publiczną, oraz broniąc tej sprawy nieustannie, tak pośród sfer literackich, jak też w obliczu miarodajnych czynników.

Pierwszy etap na drodze do utworzenia tak ważnej i wspaniałej instytucji jaką ma być Akademja został już osiągnięty, przez ujednostajnienie opinji pośród samych literatów. Rozpoczyna się więc obecnie okres drugi, zapewne znacznie już łatwiejszy, — by miarodajne czynniki jaknajprędzej przystąpiły do wstępnych prac przygotowawczych w porozumieniu z delegatami literatury.

Podczas obrad na zjeździe poznańskim delegaci wszystkich związków i stowarzyszeń literackich w Polsce przyjęli jednogłośnie rezolucję wyrażającą zdziwienie i oburzenie referentowi literackiemu departamentu kultury i sztuki, który to referent po zdawkowem przywitaniu zjazdu imieniem Rządu, nie raczył przybyć na dalsze posiedzenia, okazując tym sposobem zupełną obojętność dla pierwszorzędnych spraw dotyczących ogółu pisarzów polskich.

Minister W. R. i O. P. dr. Sł. Czerwiński, jak doniosły depesze z dnia 7-go b. m. wyjechał do Krakowa na doroczne uroczyste posiedzenie Polskiej Akademji Umiejętności. Czyż referenta literackiego przy departamencie kultury i sztuki w M. W. R. i O. P. nie obowiązuje na zjeździe ogólnym literatów odbywającym się raz na dziesięć lat tasama uprzejmość, do jakiej poczuwa się minister na posiedzeniu dorocznem uczonych?!?

—o—

W PAWILONIE PRASY I KSIĄŻKI POLSKIEJ na wystawie poznańskiej uderza poprostu brak inicjatywy, pomysłowości, starania i pieczy w odniesieniu do pokazu polskiej książki literackiej. Nasi wydawcy, — taksamo, jak na wystawach dorocznych książki, — rozumieją, że wystawa książki to streszczona niejako wystawa księgarni. Ponieważ w pawilonie prasy miejsca jest jeszcze mniej niż na wystawie w księgarni, — przeto książki leżą tu stłoczone, jedna na drugiej, co stanowi jedyny „czar" pokazu.

Widać w całem urządzeniu nieporadność i brak wszelkiego pietyzmu tak wobec autorów, jak też i wobec książki. A można to było przecież urządzić i sensowniej i z jakimś wdziękiem. Wielkie nasze firmy wydawnicze, które na najwybitniejszych autorach polskich majątek swój ufundowały, — mogły były przecież zdobyć się na artystyczne portrety „swych" autorów. (Sienkiewicza, Reymonta, Żeromskiego, Prusa, Konopnickiej itp.). Mogły były zwiedzającemu pokazać przynajmniej odnośne fazy powstawania danego dzieła, poczynając od pierwszego bruljonu autorskiego, następnie czystopisu, korekt wszystkich aż do wzorowego egzemplarza. Mogły były w pokazach uwidocznić warunki lokalne w których dany utwór powstał, wreszcie w odnośnych diagramach wykazać, jak dane arcydzieła literackie rozchodziły się w ostatnim lat dziesiątku.

Wydawcy jednak uznali, iż wystarczy „wyłożyć" książkę, pokazać papier i druk wreszcie własne filje w kraju.

Literatury pięknej na wystawie poznańskiej niema. Pouczającym byłby w tym względzie przykład wielkiej międzynarodowej wystawy urządzanej w 1910 roku w Brukseli. Na wystawie tej odczyty najwybitniejszych pisarzów Belgji należały do najmodniejszych uroczystości wystawowych. Na odczytach tych stałym gościem był król ze swym dworem, cały korpus dyplomatyczny, przedstawiciele instytucyj naukowych i t. zw. najlepszy świat zgromadzony wówczas w Brukseli.

Belgowie uważali, że ów festival literacki na którym występowali kolejno Maeterlinck, Verhaeren, Lemonnier, już to z lekturą niewydanych utworów, już to z prelekcją na jakiś temat literacki jest najpiękniejszem dowodem ich żywotności kulturalnej i narodowej.

Dlaczego zjeżdżająca się obecnie do Poznania cała Polska ma wysłuchiwać w teatrze poznańskim „Żywego Trupa", czy „Sonatę kreutzerowską" Tołstoja a niema słyszeć w wystawowej sali honorowej żywego słowa swych najlepszych pisarzów?!

Protokół uroczystego otwarcia wystawy nie dopatrzył podobno, by Pan Prezydent Rzeczypospolitej otworzył pawilon Sztuki. Pawilon ten nie może nie zaimponować i nie zadowolić najwybredniejszych gustów. Nie naszą rzeczą klasyfikować szczegółowo potężny wysiłek naszych plastyków. Nie możemy jednak, chociaż niepowołani, — nie wyrazić podziwu i zachwytu z powodu rzeźb Ksawerego Dunikowskiego ustawionych w witrażowej sali Mehoffera. Potęga i prostota kształtu wiąże się w tych rzeźbiach z tak przedziwnym i rasowym wdziękiem, iż trafia do przekonania wszystkich.

Arcydziełom Dunikowskiego przypatrują się z głęboką radością tłumy całe.

—o—

POLSKA KTÓRA IDZIE Wojciecha Stpiczyńskiego (wyd.: Warszawa, Hoesick 1929) jest rozprawą na temat najaktualniejszych zagadnień Polski współczesnej, złożoną z dziewięciu rozdziałów, noszących tytuły: Jak Polska szła, Zagadnienie władzy w barwach dramatycznych, Piłsudczycy na dalszych etapach drogi Piłsudskiego, Partjokratyczno - biurokratyczny ogród udręczeń obywatela, Oligarchja możnowładców w walce z ideą demokratyczną, Od centralizmu i biurokracji do decentralizacji i społeczeństwa, Rzeczywiste wymiary sprawy narodowościowej, Nasze problemy wewnętrzne oraz warunki i zadania zewnętrzne, W sferze problemów gospodarczych i socjalnych.

Książkę W. Stpiczyńskiego omawiać będą publicyści polityczni. My ze swej strony stwierdzamy na tem miejscu z radością, iż wielki żywiołowy talent publicystyczny Stpiczyńskiego, przeniesiony z form artykułu politycznego na ramy rozprawy książkowej nietylko nic nie traci w swej celności i sile, lecz raczej przybiera jeszcze rozmachu i układa się w kształcie przemyślanej, żywej, pełnej walorów dynamicznych kompozycji.

jkb.

W SPRAWIE PUSZCZY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ

Jak wiadomo, Ogólny Zjazd Lit. Pol. w Poznaniu przyjął w sprawie Puszczy Jodłowej jednomyślną rezolucję, popierającą tezy prof. B. Chrzanowskiego.

Łysogóry — w pasmie świętokrzyskiem — są pod względem naukowym, geologicznym i florystycznym — niezwykle ciekawe; ich gołoborza, rumowiska skał w zaraniu dziejów ziemi, oraz ich do czasów przedwojennych dzika puszcza z jodłami, bukami, modrzewiami i swoistą roślinnością jest jedyną w swym rodzaju w Polsce. Zapewniają o tem nasi uczeni, przyrodnicy.

Ustanowiono też dlatego już trzy rezerwaty, przy Ś-tym Krzyżu, przy Łysicy i na górze Chełmowej. Uzupełniają się one w części. lecz nie są wystarczające. Nawet bowiem częściowo cięcie lasów rozrywa coraz więcej te trzy wyspy leśne; puszcza traci na spójności; wobec zbyt dużego procentu usuwanych drzew wichry wyrywają często całe gniazda w rezerwatach; bliskość osiedli ludzkich nie może też być korzystną. Wzrasta wobec tego u naszych przyrodników obawa zarzutu w przyszłości, że z resztek puszczy zostawiliśmy zbyt małą cząstkę.

Względy finansowe są podobno rozszerzeniu rezerwatów przeciwne. Słuszną jest jednak uwaga odezwy Komitetu ochrony puszczy jodłowej, że „jeżeli jodły i buki mają ratować finanse Polski, to pod ostrzem topora niech lepiej padną ostatnie".

Nie wolno wywozić z kraju cudownych dzieł sztuki; nie wolno też niszczyć i cudów przyrody, a cudem takim jest ta puszcza cała. Uszanować, ochronić i zachować trzeba nam krasę naszej ziemi. To jeden powód zachowania puszczy.

Jest i drugi. Łysogóry, puszcza i jej okolica złączona jest ze Stefanem Żeromskim, może największym poetą urody polskiej ziemi, jej ziół i drzew, pól i gór, rzek i morza; jej środka — kieleckiego i sandomierskiego; jej południa — atr, jej północy — wybrzeża; całe Żeromski poświęca tej przyrodzie utwory: — „Wisła", „Międzymorze", „Puszcza jodłowa"; uduchowia przyrodę: — bohater z „Bezdomnych" a młode pędy akacji; czerpie z niej siły ducha: — Judym przypatrujący się młodym listkom grabowym; u Żeromskiego przyroda współczuje człowiekowi: — Rozłucki w „Urodzie życia" nad łąką kwiatów pełną w Cierniach. A najwięcej w jego utworach krajobrazów z łysogórskich okolic; Ciekoty, wąwóz mąchocki, jego strumień i łąki są w „Syzyfowych pracach" i w „Promieniu" i w „Bezdomnych" i w „Popiołach" i w „Urodzie życia" i we „Wszystko i nic". Przecież Gawronki, Niemrawe, Głogi, Wygnanka i Ciernie, to wszystko te same Ciekoty! A już jedynie tylko w Żeromskiego utworach jest puszcza; on ją wprowadził do literatury, w „Echach leśnych", w „Urodzie"; w „Popiołach"; jej poświęcił cały utwór. — Kto też chce Żeromskiego poznać, o nim pisać, winien, powiem *musi* poznać Ciekoty, wąwóz mąchocki, Ś-tą Katarzynę i *puszczę!*— To drugi powód konieczności jej zachowania. Uszanować, ochronić i zachować trzeba to, co stało się źródłem wielkich skarbów naszej literatury. Przecież może ono stać się jeszcze i dla innych źródłem twórczości. A tem więcej zachować należy, że sam poeta sobie tego życzy wołając:

„Puszcza Królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska. chłopska, ma zostać na wieki wieków jako świat nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którem święty jeleń chodzi, jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności. Puszcza jest niczyja, nie moja ani twoja ani nasza, jeno Boża, święta".

Dlatego wnoszę w imieniu Komitetu ochrony puszczy jodłowej. aby zjazd tych, którzy urodę ziemi polskiej opisują, literatów, powieściopisarzy, poetów, uchwalił:

Rezerwaty w puszczy świętokrzyskiej winny być rozszerzone, połączone i *puszcza cała zachowana* jako park narodowy imienia Stefana Żeromskiego.

Bernard Chrzanowski.

SEJM LITERACKI W POZNANIU

Zjazd literatów w Poznaniu, przez miejscowy komitet dobrze technicznie zorganizowany, dał poważne pozytywne wyniki. Obrady były rzeczowe, a toczyły się w atmosferze koleżeńskiej życzliwości, niezakłóconej żadnym zgrzytem, choć temu właśnie zjazdowi sądzone było stać się terenem ostatecznej rozgrywki między zwolennikami Akademji, a zwolennikami Izby (Rady) Literackiej. Wysoki poziom rozpraw, sprężyste przewodnictwo Ferdynanda Goetla. zrozumienie wagi omawianych spraw, wreszcie racjonalny system literackiej ordynacji wyborczej, według której prawo głosowania posiadali tylko upełnomocnieni delegaci stowarzyszeń literackich, wybrani w stosunku: jeden delegat na 10 zrzeszonych literatów, uczyniły ze zjazdu poznańskiego najdonioślejszy i najowocniejszy z dotychczasowych sejmów literackich.

Ciekawych samego przebiegu obrad i personalnych szczegółów odsyłam do urzędowego protokółu Zjazdu. Punkt ciężkości leży w ostatecznych uchwałach.

Najważniejsza dotyczy Akademji.

Spór o nią, toczący się w ostatnich latach w prasie i na dyskusyjnych zebraniach literackich, jest wszystkim znany.

Przypomnę więc tylko, że projektowi Akademji literatury, opracowanemu przez Straż Piśmiennictwa, przeciwstawiła pewna grupa pisarzy, z p. Irzykowskim na czele, projekt Izby (Rady) literackiej, w głównych zarysach różniący się od projektu Akademji tem, że

wszyscy członkowie tej instytucji byliby obierani i nie piastowaliby mandatów dożywotnio, lecz na określony przeciąg czasu. Obie strony walczyły zacięcie, był to jednak harc rycerski jednostek przed frontami armij literackich, które nie miały możności starcia się ze sobą. Nie było bezwzględnego sprawdzianu woli ogółu literatów. Wola ta znalazła wreszcie wyraz dopiero na zjeździe poznańskim. Na plenum i na komisji po raz ostatni skrzyżowali szpady zwolennicy Akademji — Kaden-Bandrowski, Sieroszewski, Kisielewski, Ossendowski, Grubiński i inni z chorążymi Izby — Irzykowskim i Peiperem, a gdy do uzgodnienia stanowisk nie doszło, zjazd rozstrzygnął spór głosowaniem uprawnionych delegatów, rzucając za Akademją głosów 78 przeciw 5. Ten druzgocący stosunek głosów był nieulegającym już najmniejszej wątpliwości świadectwem, czego polski świat literacki sobie życzy. Uznali to lojalnie „Izbowcy", którzy natychmiast po ujawnieniu wyniku głosowania oświadczyli, że wobec wypowiedzenia się ogromnej większości za Akademją i oni zwalczać jej dłużej nie będą i ustosunkują się względem niej pozytywnie. Przedstawiciele zaś T-wa Autorów Ludowych poszli jeszcze dalej, wycofując swe dwa głosy oddane przeciw Akademji i rzucając je na szalę za nią. Okrzyk Kisielewskiego „Niech żyje Akademja"!, podchwycony gremjalnie, położył kres długiej walce dwu obozów literackich i wyrażając zgodną już opinję pisarzy polskich, inauguruje w literaturze nowę erę — erę realizacji obietnicy Rządu utworzenia Akademji.

Druga ważna uchwała dotyczy utworzenia Zrzeszenia Związków zawodowych literatów polskich istniejących dotąd w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie i Wilnie. Dotychczas były one zupełnie niezależne jeden od drugiego, działalność ich nie była skoordynowana. Próba podjęta przed paru laty na zjeździe w Warszawie utworzenia nadbudowy, t. j. wyboru osobnego zarządu dla kierowania wszystkiemi związkami nie dała pozytywnych wyników. Powołanie do życia jeszcze jednej instytucji literackiej, z zarządem bardzo licznym i wskutek tego ociężałym, do którego należeli przeważnie ci sami ludzie, którzy wchodzą w skład zarządów pozostałych stowarzyszeń literackich w Warszawie — sprawiło, że ta nowa naczelna instytucja okazała się niezdolną do życia.

Na Zjeździe w Poznaniu dokonano zasadniczych zmian organizacyjnych. Centralną władzą Zrzeszenia stał się Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie, uzupełniony delegatami związków prowincjonalnych, które zachowują autonomję w sprawach wewnętrznych i finansowych. Zrzeszenie obowiązane jest do informowania poszczególnych związków o swej działalności, związki zaś składają sprawozdania Zrzeszeniu.

Zwyciężyła więc zdrowa zasada solidaryzmu zawodowego, utworzenie bowiem Zrzeszenia w tej nowej formie oznacza likwidację okresu rozbicia życia organizacyjnego i odtąd głos zarządu Związku warszawskiego wyrażać będzie w sprawach ogólnych opinję zrzeszonych literatów z całej Polski.

Wielkiej doniosłości jest również umowa zawarta w przeddzień Zjazdu, 5 czerwca, z Polskiem Radio. Na mocy tej umowy Radio Polskie zobowiązało się do płacenia 300 zł. miesięcznie na rzecz literackiego funduszu zapomogowego za produkcje utworów, *co do których prawa autorskie już wygasły*. To uznanie przez Polskie Radio prawa literatury żyjącej do tak zw. „dóbr martwej ręki" jest pierwszym bodaj takim precedensem w Europie, w Polsce zaś pierwszem, częściowem zwycięstwem idei opodatkowania wydawnictw utworów pisarzy, zmarłych więcej niż przed 50 laty. Na tej idei opierał się projekt „Skarbu Literatury i Sztuki", szeroko omawiany przed paru laty, którego wznowienie powinno być jednem z pierwszych zadań Akademji.

Te trzy najdonioślejsze uchwały, które wysunąłem na czoło sprawozdania, nie wyczerpują prac Zjazdu.

Uchwalił on dalej wniosek p. Weronicza, przedstawiony przez Sieroszewskiego, w sprawie racjonalnej gospodarki objektami artystycznemi. Nawiązując do prowadzonych w urzędach państwowych badań konjunktur poszczególnych gałęzi gospodarstwa narodowego, wniosek stwierdza, że walory artystyczne — literatura i teatr — są również objektami produkcji i konsumcji i tworzą pewne pozycje w gospodarstwie narodowem. Zjazd zwraca się przeto do Komitetu Ekonomicznego Prezydjum Rady Ministrów z prośbą o przeprowadzenie od strony ekonomiki badań nad rynkiem literackim i teatralnym w Polsce. Wyjaśnienie faktycznego stanu rzeczy ustali racjonalną kalkulację produkcji wydawniczo literackiej, rozszerzy metody podaży i wyjaśni możliwości powiększenia rynku zbytu.

Zjazd przyjął oprócz tego rezolucję p. Czachowskiego, zawierającą apel do pracy o utworzenie w każdem piśmie poważnego działu krytyki literackiej pod kompetentnem kierownictwem fachowego krytyka oraz wniosek p. Bernarda Chrzanowskiego, dotyczący utworzenia z Puszczy Jodłowej rezerwatu im. Stefana Żeromskiego. Z inicjatywy p. Jana Pietrzyckiego postanowiono wmurować tablicę pamiątkową w domu Karola Liebelta, gdzie w 1848 r. przez pewien czas mieszkał Słowacki. Zaszedł przytem incydent pełen humoru, mianowicie urzędnik magistratu poznańskiego, zapytany telefonicznie o informacje, odpowiedział, że nie może wskazać tego domu, gdyż żaden Juljusz Słowacki na Powszechną Wystawę do Poznania nie przybył.

Z dziedziny prawa autorskiego uchwalono rezolucje, wzywające pisarzy polskich do uzyskiwania „copyright" w Ameryce, zarządy zaś stowarzyszeń literackich do sprawdzenia niezbędnych do tego kart rejestracyjnych. Wobec prawdopodobieństwa rychłej nowelizacji polskiej ustawy o prawie autorskiem, rzucono myśl wprowadzenia do niej przepisu, by autorzy amerykańscy, chcący uzyskać ochronę praw autorskich w Polsce, podlegali tym samym obowiązkom rejestracji, jakie na pisarzy polskich nakłada amerykański „copyright". Przy tej sposobności p. J. A. Hertz, wniósł, by nowela uniemożliwiała na przyszłość nieautoryzowane wystawianie dzieł dramatycznych, a w razie ujawnienia pogwałcenia prawa autorskiego, by prokuratura wkraczała natychmiast, nie dopuszczając do kontynuowania przestępstwa aż do chwili rozstrzygnięcia sprawy w sądzie.

Wrażenia wyniesione z tego sejmu streszczają się w tem, że kryzys parlamentaryzmu literackiego mija; świadomość konieczności solidarnej pracy organizacyjnej znalazła wreszcie zrozumienie, rozsądne metody tego współdziałania krystalizują się, a tradycje krzepną.

St. Czosnowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA

Wywiad z Morandem.

Autor „Lewisa i Ireny" i „Magji czarnych" objeżdża obecnie środkową Europę. Był w Czechosłowacji, obecnie przebywa w Niemczech i rozmawia chętnie z przedstawicielami prasy. W jednym z udzielonych w Berlinie wywiadów Morand streścił wrażenia ze swej podróży po Afryce. Przebył 50.000 kilometrów koleją, autem i samochodem i zwiedził 28 państw murzyńskich, aby, jak powiada, znaleźć świat w jego pierwotnej postaci. Nie znalazł jednak. Murzyn współczesny czuje się lepiej w krainie obłąkanego ruchu, życia z dnia na dzień i pogoni za życiem.

Berlin, znalazł według Moranda, swoistą drogę rozwoju, zgoła odmienną od tak zw. amerykanizacji.

W odpowiedzi na pytanie: nad czem pan obecnie pracuje?, oświadczył Morand, że pisze książkę o New-Yorku. W książce tej będzie się starał odtworzyć rozwój idei amerykańskich i przedstawi składniki specyficznej, amerykańskiej atmosfery.

Nie jest to rzecz łatwa dla Europejczyka. Trzeba prostować wiele fałszywych pojęć i perspektyw. Sinclair Lewis opisał Europę z punktu widzenia amerykanina. Morand starać się będzie o ujrzenie Ameryki okiem Europy.

Na pytanie: jak określa pan swoje stanowisko w rozwoju współczesnej powieści francuskiej? — odpowiedział Morand wymijająco, iż jest jedynie obserwatorem życia, że nie pisze powieści. I ta rola obserwatora, daje mu możność powiedzenia wielu rzeczy swoim rodakom.

Morand występuje przeciw sądom krytyki francuskiej, która rozdziera szaty nad stanem powojennej powieści we Francji; stwierdza, że powieść ta rozwija się, że przyobleka nowe kształty poprzez twórczość pisarzy, od Mauriaca i Maurois'a do Drieu i Montherlant'a.

W zakończeniu wywiadu oświadczył Morand, że kultura niemiecka nie wywarła żadnego wpływu na jego twórczości i wypowiedział się za zbliżeniem niemiecko-francuskiem.

Tomasz Mann, a „Towarzystwo im. Goethego".

Istniejące w Weimarze „Towarzystwo im. Goethego" wybierało w tym roku nowego członka. Oddział berliński „Towarzystwa" postawił kandydaturę wielkiego pisarza Tomasza Manna. Aliści nacjonalistycznie usposobieni panowie z Weimaru nie zgodzili się na wybór Manna, albowiem jest... republikaninem i wybrali na to miejsce prof. Bertrama z kolonji.

Takie postawienie kwestji wywołało słuszne oburzenie kulturalnej opinji niemieckiej. „Die literarische Welt" w pięknie i mądrze zredagowanym liście prosi uczonego o zrzeczenie się tego zaszczytu, osiągniętego w rywalizacji z wielkim pisarzem i człowiekiem. Ciekawą jest rzeczą jakie stanowisko zajmie w tej drażliwej sprawie prof. Bertram.

Maupassant do Turgieniewa.

„Europe Nouvelle" ogłasza list Maupassan'a do Turgieniewa, w którym Maupassant donosi o ostatnich chwilach swego ukochanego mistrza Flauberta.

List ten jest pełen serdecznego bólu i oburzenia przeciw współczesnym, którzy tak łatwo zapominają. Przy pogrzebaniu zwłok stawili się przedewszystkiem młodzi i najmłodsi przyjaciele. Ani Hugo, ani Renan, ani Taine, ani Dumas nie raczyli przyjść na pogrzeb wielkiego pisarza...

Nowe stowarzyszenie pisarzy włoskich.

W Bolonji zawiązało się nowe stowarzyszenie pisarzy włoskich, mające na celu regulowanie sprawy przekładów w kraju i zagranicą.

Stowarzyszenie starać się będzie o propagandę dzieł pisarzy zrzeszonych. Pisarze zagraniczni mają być członkami nadzwyczajnymi stowarzyszenia. Stowarzyszenie organizuje reklamę w każdym kraju i pomaga wszelkiemi środkami swemu członkowi.

Przekłady w Japonji.

Tłomacz Eliseff, którego specjalnością jest tłumaczenie dzieł japońskich na język francuski ogłosił w ankiecie „Coopération Intelectuelle" w sprawie przekładów następujące dane z rynku japońskiego. W r. 1910 ukazało się w Japonji 91 przekładów, w 1915 — 60, punkt kulminacyjny był w roku 1921 — 274 przekłady.

Nowości europejskie Manna, Galsworthy'ego, Moranda i młodszych pisarzy rosyjskich (Fedin) są niezwłocznie przyswajane językowi japońskiemu.

Uczczenie Konrada Burdacha.

Niemcy obchodzą obecnie uroczyście siedemdziesięciolecie urodzin sławnego uczonego i filologa, Konrada Burdacha; który jest uważany za następcę Wilhelma Humboldta i Jakóba Grimma.

Konrad Burdach zajmował się w początkach swojej karjery naukowej studjowaniem Goethego, zwłaszcza dzieł jego młodocianych.

Później przerzucił się Burdach niemal całkowicie na studja językowe stając jako filolog w rzędzie największych i najwybitniejszych badaczy języka. Głównem dziełem tego uczonego jest zakrojone na wielkie rozmiary dzieło pod tytułem: „Von Mittelalter zur Reformation, Forschungen zur Geschichte der deutschen Bildung". Dzieło to wymagało niezwykle skrupulatnych badań i studjów, które Burdach odbywał w licznych archiwach czeskich, morawskich, austrjackich, niemieckich, włoskich i szwedzkich, gdzie się znalazły liczne rękopisy wywiezione po wojnie trzydziestoletniej.

Owo doniosłe dzieło, finansowane przez Akademję umiejętności, doznało jak tyle innych prac naukowych poważnej przeszkody i przerwy z powodu wojny i dotychczas ukazały się tylko trzy tomy z planowanych sześciu. Konrad Burdach pomimo podeszłego wieku pracuje nadal energicznie kontynuując rozpoczęte dzieło z energją wprost młodzieńczą.

Najwyższa cena za maszynowy egzemplarz Galsworthy'ego.

Znany pisarz angielski, Galsworthy ofiarował na rzecz „The Royal Literary Found" egzemplarz maszynowy swej sztuki „Lojalność". O egzemplarz ten, opatrzony licznemi własnoręcznemi poprawkami autora poczęli się ubiegać liczni antykwarjusze, z pośród których najwyższe ceny ofiarowali dwaj: londyński antykwarjusz i amerykański. Egzemplarz nabył oczywiście antykwarjusz zamorski, przelicytowawszy swego kolegę brytyjskiego zapłaceniem niebywałej dotychczas sumy 3.300 funtów sterlingów za... maszynowy egzemplarz sztuki.

Dramat, osnuty na tle katastrofy „Titanica".

Raymond, młody autor angielski napisał wstrząsający dramat, osnuty na tle straszliwej katastrofy „Titanica". Tragedja wystawiona w jednym z teatrów londyńskich wywarła swą treścią, opracowaną w sposób kinematograficzny szalone wrażenie na publiczności.

ADOLF WEISSMANN

(1873 — 1929).

Zmarły niedawno krytyk muzyczny był osobistością wybitną. Znaczenie jego w dziejach muzycznej krytyki niemieckiej można porównać z analogicznem znaczeniem w dziedzinie plastyki takich pisarzy, jak Muther i Mayer - Graeffe. Taksamo jak oni, uświadomił Weissmann wiele rzeczy swoim rodakom i z godną uznania odwagą wygłaszał poglądy, które obalały ogólnie panujące i już utrwalone mniemania. Powszechnie wiadomo, jak to Niemcom jasno i wyraźnie Muther i Mayer - Graeffe powiedzieli o wielkiem znaczeniu malarstwa francuskiego w wieku XIX i jak zdetronizowali wielkie bożyszcze niemieckie, Böcklina, wykazując że był wszystkiem: poetą, filozofem... tylko nie malarzem.

Ale w dziedzinie sztuk plastycznych nie trzeba było wielkiej odwagi, żeby to wszystko wygłosić. Ostatecznie Niemcy nie uważają siebie za naród malarzy i rzeźbiarzy. W dziedzinie sztuk plastycznych wielkich ambicyj nie mają. Co innego z muzyką. Wraz z Niemcami, cały nieomal świat uważał, że istnieje wyłącznie muzyka niemiecka, żadnej innej niema. Gdzieniegdzie zjawiają się pojedyńcze talenty, a nawet genjalni muzycy, ale jako nieprzerwana ciągłość, jako całokształt muzyki istnieją tylko Niemcy. Gdy w początkach XX wieku zaczęto nieśmiało myśleć trochę inaczej, gdy we Francji poczęły się zjawiać artykuły, mówiące o powstaniu tam nowej twórczości, wyśmiewano autora tych artykułów, znakomitego krytyka Pierre'a Lalo. Wierzono wówczas tylko w Ryszarda Straussa nawet w Paryżu. Z entuzjazmem publiczność paryska przyjmowała niemieckiego muzyka. Sześć przedstawień „Salome" w wielkim teatrze Chatelet pod dyrekcją autora z niemieckimi aktorami, w niemieckim języku, to — trzeba przyznać — szczyt powodzenia, wobec którego głosy ówczesnej krytyki paryskiej nic nie znaczyły.

Była to odwaga, żeby wbrew całej opinji niemieckiej powiedzieć, że francuska krytyka miała rację. Tę odwagę miał Weissmann. To on, w swojej kapitalnej książce „Die Musik in der Weltkrise" powiedział: „Das schöpferische Uebergewicht Deutschlands in der Musik, scheint für längere Zeit erschüttert". W tej samej książce wypowiedział Weissmann również swoją opinję o Ryszardzie Strausie wręcz odwrotną o dogólnie panującej. Zdarł z niego bowiem nimb rewolucjonisty i nowatora, a wykazał, że w muzyce jego absolutnie żadnego zwrotnego punktu niema. Pomimo pozorów zawiłości jest to muzyka dla przeciętnego słuchacza przystępna, posiada dość dużą dozę sensacyjności i banalności, żeby się szalenie podobać snobistycznej burżuazji. Dla niej właśnie jest stworzona i stąd płynie źródło rozgłosu i popularności Ryszarda Straussa. Ale żadnych nowych elementów twórczości, niczego, coby muzykę niemiecką na nowe tory pchnąć mogło w utworach Ryszarda Straussa niema. Jak widzimy w najbardziej zasadniczych kwestjach, tyczących współczesnej twórczości niemieckiej, Weissmann wypowiadał myśli śmiałe i nowe. Jako krytyk muzyczny posiadał jedną wadę — w kwestjach najnowszej twórczości nigdy nie miał zdania zdecydowanego. Ta twórczość była dla niego zawsze problematyczna. Zmieniał też często zdanie o niektórych muzykach niemieckich i to ściągnęło na niego gniew najwybitniejszych kompozytorów. Niedawno w redakcji „BZ. am Mittag", gdzie stale pracował, zjawili się znani muzycy Hindemith i Weil żądając usunięcia Weissmanna. Wreszcie młodzi użyli sobie w piśmie „Melos", zrobiwszy generalną masakrę wszystkich krytyków, do czego niewątpliwie powód dał najwybitniejszy z nich — Weissmann. Głos zabierali oczywiście Hindemith i Weil, a także cała gromada obrażonych i najbardziej zarozumiałych solistów. Młodzi nie mieli racji. Pomimo braku zdecydowanego stanowiska, Weissmann był jaknajżyczliwiej usposobiony dla młodych kompozytorów. Utwory ich interesowały go prawie wyłącznie. Jeździł stale na wszystkie festivale międzynarodowego towarzystwa popierania współczesnej twórczości muzycznej i ostatnio pisał jeszcze sprawozdanie z kwietniowego festivalu w Genewie. Był popularny, czytany, pisał bowiem świetnie, interesująco. Był krytykiem inteligentnym, o szerokich poglądach i znakomitym znawcą muzyki. Słusznie uważali go niektórzy za najwybitniejszego krytyka, jakiego Niemcy posiadali od czasów Hanslicka.

Z naszej strony wdzięczni mu jesteśmy przedewszystkiem za świetną książkę o Chopinie i za liczne pochlebne zdania o współczesnych kompozytorach polskich. Podczas uroczystości chopinowskich przyjechał do Warszawy jako delegat muzyków niemieckich.

St. Z.

* * *

Dalszy ciąg noweli Adama Galisa „Nocny dyżur" ze względu na nawał materjału aktualnego, dotyczącego zjazdu literatów w Poznaniu, ukaże się w następnym n-rze „Głosu Prawdy lit.".

ODPOWIEDZI
„GŁOSU PRAWDY" LITERACKIEGO

Jakób K. Powiada Pan, że to jest fragment z większej serji lirycznej? Jeżeli cała serja jest taka, jak ów fragment, należy całą serję rzucić do kosza. Wiersze nadesłane — złe w rytmie, pospolite we wszystkich określeniach i obrazach, niedobre, brzydkie wiersze!

M. P. Dyskusji tej nie wszczynamy a to, po pierwsze, — iż zaatakowany broni się świetnie sam, po drugie — ponieważ dyskusję taką otworzywszy, musielibyśmy udzielić miejsca wszystkim, których jest legion, — znawcom oraz amatorom poezji i poety, po trzecie, aby nie zabierać tu miejsca inicjatywie i twórczości młodych sił, które wiele miejsca w prasie polskiej nie mają, — gdzież się więc mają obrócić i umieścić?

J. S-ki Wilno: Trzeba jeszcze więcej pracować. Pańskie „Podwórze" kończy się właściwie na zwrotce czwartej włącznie. Wszystko co potem następuje osłabia a nie wspomaga wrażenia. W czterech pierwszych zwrotkach dwie pierwsze dobre, w dwóch następnych rytm zgubił się całkowicie. W swym stróżu kamienicznym zaczyna Pan od słów: Kłujące uszy dzwonków alarmy niecierpliwe spóźnionych lokatorów... itd. Hało! Ileż to genetywów i do kogo, do czego należą — niewiadomo. Oczywiście, jeżeli się ktoś uprze to zrozumie, nie można jednak pisać poezji w formie rebusów gramatycznych.

Pol. Kraków: Być może, iż włada Pan językiem, który nadejdzie, jakimś językiem przyszłości, a którego my, ludzie przeszli, nie wyczuwamy. Jeżeli jednak przyznaje nam Pan prawo do wspólnego języka, przystąpmy do rozbioru. Pisze, Pan:

> Już z wieży otrąbiono ósmą przeciągłem hejnałem
> Żaluzje lecą wgórę z głuchego churgotu chorałem
> I wystawy sklepowe lustrem szyb cieleśnią,
> Gdzie kryształy, perfumy, tiule tęczą kolorów się pieśnią.

Chorał jest formą muzyczną, całkiem ściśle określoną, bynajmniej nie dowolną. Jako taki ma zdanie główne, zdania i motywy poboczne, przepływa w formie poważnej i powolnej. Uniesienie żaluzji, to jeden krótki nagły ryk. Wobec powyższego porównanie otwarcia żaluzji z chorałem głuchego churgotu — to nonsens. Czy można cieleśnić się? Może można. Może też można pieśnić się, trzeba to jednak robić chyba całkiem inaczej, niż Pan. Niech Pan spróbuje pisać zwykłemi słowami.

Jan Jach.: Dziękujemy za tak miły list. Pan się myli, nie chcieliśmy drwić, ani ośmieszać. Uważaliśmy, że w starym psie są istotnie t. zw. zadatki. Ależ Panie zadatki te są w tym doskonałym ustępie listu, — o grafomanie:

„Piszę, piszę, piszę, pocę się, — przez rok napiszę 20 nowel i w tem jedna szczęśliwsza. Co za dorobek?!! Piszę, piszę, — przepraszam kółko życzliwych, — częstuję papierosami, zachęcam „winem", proszę o bezwzględną ciszę, wydobywam z kieszeni swój utwór i czytam. Drażni mne brzęczenie muchy, drażni mnie litosny uśmiech „kółka". Czyż może być komiczniejsza sytuacja

Szkic powyższej sytuacji dowodzi, iż posiada pan zdolności pisarskie.

Stan. Warszawa: Obie nowele napisane są już na znacznej wyżynie opracowania. Herszek nie tłomaczy się tak dobrze, jako że prowadzi to Pan „od wewnątrz" postaci głównej, t. j. owego chłopca, który jest przecież niedorozwiniętym głuptakiem. Głuptak ów jako postać prowadząca całe opowiadanie przedstawia zbyt wielką i nieobliczalną dowolność, by na tej dowolności można byo utrzymać istotny tok opowiadania. Znacznie lepszy jest Pietruszka, pełen ścisłości w charakterystyce, z tematem postawionym mocno i od samego początku, z tokiem opowiadania, które tak równo i szybko posuwa się naprzód. Oczywiście, będziemy drukowali, zarazem winszujemy Panu z całego serca tak dobrze ujętej i przeprowadzonej pracy. Oczekujemy dalszych opowiadań, czy nowel, chyba ma Pan też w tece rzeczy oparte na tle rodzimem?!

H. Jar, Wiedeń: Bardzo słabe wiersze. Radzimy zawrócić z drogi poezji, nie zdaje się nam bowiem, aby w nadesłanych przez Pana wierszach kryły się zadatki jakiego takiego talentu.

Jeremi Kor... Pisane niezdarnie, nie widać też istotnego sensu opowiadania. O cóż Panu tam chodziło w tym zamku? Co ma znaczyć ów moment wymarszu do boju i odwołanie boju. Wszystko to niezwiązane, nieuzasadnione nic razem nie znaczy!

W. Bor... Filozofja a dzieje narodowe i t. p. Cała trudność publicystyki polega na określeniu zwartego tematu i na treściwem podaniu. Nie jest przecie trudno pisać, lecz trudno i najtrudniej jest nie pisać rzeczy niepotrzebnych. Które są potrzebne a które niepotrzebne? Otóż to jest, — między innemi, — tajemnicą talentu pisarskiego i publicystycznego, — ów znakomity wybór najwłaściwszej treści. Tymczasem Pan niestety artykuły swoje wyposaża właśnie w te wszystkie rzeczy, które wszystkim są wiadome i już nikogo nie obchodzą. Operuje Pan t. zw. przeciętnym formalistycznym bagażem wiadomości, przyswojonym przeciętnie i banalnie. Czy w czasie pisania nie przyszło Panu na myśl, że pisze Pan jednak wkońcu dla jakichś czytelników? Jakże ich Pan traktuje w swych artykułach niesumiennie i niepoważnie!

AS: Przeczytaliśmy ten tomik poezyj pańskich i z prawdziwym smutkiem odłożyliśmy na bok. Ze smutkiem, iż zużywa Pan na to pisanie tyle niepotrzebnej bezowocnej pracy. Wykręcanie słów, mordowanie składni, wyszukiwanie dziwacznych określeń nie jest wcale poezją. Zapyta Pan nas„ co jest poezją? Na szczęście nie potrzebujemy odpowiadać: Niechże Pan przeczyta którykolwiek tom Mickiewicza, czy Norwida. Radzimy nie pisać. Czy nie wystarczy Panu czytanie pięknej poezji?

Zygmunt Sch. Kraków: Bez wartości. Chyba Pan sam wie o tem!

M. Wr: Najlepsze — sztubackie szczęście. Może wydrukujemy. Inne nic nie warte. Radzimy próbować sił właśnie na tej prostej skromnej, miłej drodze sztubackiego szczęścia. Niech się Panu tylko nie zdaje, że Pan „tworzy". Niech Pan raczy sobie pokornie powiedzieć, że składa, że klei Pan wiersze, ręczymy Panu, że wtedy udadzą się najlepiej. Poematów pod grozą kary śmierci nie pisać!!!

Janusz Or: Pisze Pan:

> Na usta cisną się duszy mej słowa
> I tkliwość dziwna w słowach się przędzie
> Dziś pierwsza noc ciepła majowa
> Może początek da nowej życia legendzie.

Niechże Pan to zobaczy w druku i opamięta się! Czy nie widzi Pan, co to za banał, gęsty, twardy, kuty, kamienny, siny banał!

Stanisaw Koła... Bydgoszcz: Myśli przezacne, forma fatalna. Cóż Panu poradzić? Albo niech Pan zdobędzie tę formę, albo może lepiej nie pisać tych wierszy? Cała sprawa zależy wyłącznie od Pana, nie mamy na to żadnego wpływu. Pan sam wybierze.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ.*

Drukarnia Artystyczna, Nowy-Świat 47. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.